

In vitro w perspektywie filozoficznej

Część 3 - Umiarkowany konserwatyzm

JACEK HOŁÓWKA

To stanowisko nie opiera się wyraźnie na religii, choć czasem się do niej odwołuje, natomiast wyraźnie odrzuca kompetencje filozofii w zakresie rozstrzygania problemów bioetycznych. Za autorytet uważa tradycję.

Ogłaszając nadrzędność filozofii i nauki nad zwykłą moralnością i religią, Tooley zajmuje stanowisko przypominające pozytywizm logiczny. [...] Zanim filozofia pojawiła się na scenie, wszyscy ludzie rozwiązywali problemy moralne, ufając religii. Wielu z nas, a w tym także filozofowie, postępuje tak do dzisiaj. [...] Sądy moralne nie potrzebują zatwierdzenia na seminarium filozoficznym (Devine&Devine, s. 200-201).

Umiarkowany konserwatysta nie będzie zatem argumentował, że w każdym przypadku procedura *in vitro* jest niedopuszczalna. Będzie tylko zniechęcać do jej stosowania, podkreślając, że jest niepewna i kontrowersyjna oraz że dopóki tej procedury nie wymyślono, wszystkim żyło się dobrze. Może przyznać, że gdy nie dochodzi do zamrażania zygot zdolnych do życia, tak jak w przypadku ośmiu zarodków opisanych we wstępie, to procedura *in vitro* jest moralnie dopuszczalna. Jednak będzie się domagać, by wszystkie zarodki były implantowane, także te, które są wyraźnie zdeformowane i nie mają szans przeżycia. To ustępstwo różni go od konserwatysty radykalnego, który bez skrupułów oskarża lekarza o praktykowanie „kultu-

ry śmierci”. Zwolennik umiarkowanego konserwatyizmu gotów jest dopuścić, by procedura *in vitro* była uznana za legalną, ale żąda obwarowania jej licznymi ograniczeniami. Na przykład wolno pobrać maksymalnie trzy jajeczka lub wolno leczyć tą metodą tylko kobiety mające od 30 do 40 lat. Albo zastrzega się, że jest to procedura dopuszczalna tylko wobec męża i żony, a wobec konkubentów już nie. Zasadniczą nieprzydatność takich propozycji ilustruje poniższy przykład.

*Zwolennik umiarkowanego
konserwatyizmu
domaga się, by wszystkie
zarodki były implantowane,
także te, które są
wyraźnie zdeformowane*

Przewożenie żyrafy

W Afryce miłośnik wielkich zwierząt ma ciężarówkę i kilku pomocników na swoje usługi. Dowiedział się, że na skraju rezerwatu ugaszono pożar sawanny i niektóre zwierzęta tam wracają w poszukiwaniu pastwisk. Idzie z nimi także stado ośmiu żyraf. Żyrafy nie wiedzą, że w miejscu ich żerowania pożar wypalił niemal wszyst-

kie akacje. Miłośnik bezkrwawego safari wie o tym, ale oczywiście nie może tego żyrafom powiedzieć. Nieco się martwi, że żyrafom grozi śmierć głodowa, gdy dotrą na miejsce, ale nic na to nie może poradzić. Nie może wszystkich żyraf przewieźć na inne miejsce. Postanawia więc dopomóc tylko jednej nich. Wysyła pomocników, ci strzelają do żyrafy nabojem ze środkiem usypiającym. Układają nieprzytomne zwierzę na ciężarówce i wiozą na obszar spalonej sawanny. Tam żyrafa wraca do sił i swobodnie korzysta z wolności. Szuka świeżych akacji, choć nie wie, że szuka na darmo. Ma niewiele większe szanse znalezienia pożywienia niż pozostających w tyle siedem żyraf, mierzliwie kroczących w tę samą stronę.

Selekcja czy dyskryminacja?

Analogia z ośmioma zarodkami jest od razu widoczna. Lekarz wybiera jeden zarodek na chybił trafił i ułatwia mu przetrwanie. Być może niepotrzebnie się trudzi, bo ani nie wybiera najsilniejszego zarodka, ani nie stosuje wobec niego żadnych, oprócz implantacji, zabiegów poprawiających szanse przeżycia. Działanie ma raczej charakter ceremonialny niż terapeutyczny. Umiarkowanemu konserwatyście wystarczy, że pomaga, i nie psuje mu samopoczucia fakt, że pomaga nieskutecznie. Z punktu widzenia biologii jego działanie jest zbędne. Sztuczne zapłodnienie tym tylko się różni od naturalnego, że sztuczna procedura celowo odrzuca wszelką selekcję, podczas gdy

naturalna tego nie robi. Jest to więc raczej symboliczne umoralnianie natury, niż procedura medyczna. Zwolennik umiarkowanego konserwatyzmu nie uznaje, by zasadniczym celem *in vitro* mogło być przyspieszenie selekcji naturalnej, bo ani nie akceptuje tego celu, ani nie wierzy, że selekcja dokonywana przez człowieka ma charakter wyboru naturalnego.

Ten ostatni взгляд, bardziej niż cokolwiek innego, powstrzymuje umiarkowanego konserwatystę przed wyrażeniem zgody na wytwarzanie nadliczbowych zarodków. Jeśli lekarz przebiera między zarodkami i pewne z nich eliminuje, to – zdaniem umiarkowanego konserwatysty – zamiast stosować selekcję naturalną, praktykuje dyskryminację. Nie pozwala przetrwać niektórym zarodkom, niekoniecznie najsłabszym biologicznie, ale na przykład pomija przy implantacji zarodki obciążone wadą genetyczną, występującą już w rodzinie. Może eliminować zarodki obciążone hemofilią, chorobą Tay-Sachsa, skłonnością do chorobliwej otyłości lub stwardnienia rozsianego. Jeśli lekarz świadomie nie dopuszcza, by zarodki z takimi wadami miały szansę przeżycia, to – zdaniem umiarkowanego konserwatysty – pośrednio dyskryminuje także dorosłe osoby z tą chorobą. Daje im do zrozumienia, że gdyby to od niego zależało, to raczej by nie żyły.

Szacowanie szans

Taka interpretacja selektywnej wersji *in vitro* jest jednak niedopuszczalna. Czym innym jest bowiem szacowanie szans życiowych jakiegoś człowieka przed urodzeniem, a czym innym po narodzeniu. Inne zasady nas przecież obowiązują, gdy możemy uniknąć jakiegoś cierpienia, a inne, gdy już cierpienie nas dotyka. Rozważaliśmy dwa uprawnienia przysługujące ewentualnie zarodkowi:

1. prawo do życia, w sensie prawa do tego, by wszyscy sprawcy powstrzymali się od działań, które mogą go uśmiercić;
2. prawo do opieki i troski przez kochających opiekunów, a przy braku takich możliwości prawo do bezbolesnego zniknięcia przed uzyskaniem świadomości.

Argumentowałem, że uprawnienie drugie jest dla zarodka lepsze niż

pierwsze. Jednak człowiek świadomy i obciążony wadami organicznymi nie stoi przed takim wyborem. Może wybierać jedynie między:

3. życiem przy biernym poddaniu się ograniczeniom biologicznym;
4. życiem niwelującym skutki tych ograniczeń, co w niektórych przypadkach może pochłonąć niemal wszystkie siły i środki materialne chorego.

Lekarz, dokonując preimplantacyjnej selekcji, stara się uchronić świadomego człowieka, który powstanie z zarodka, przed koniecznością wyboru między możliwościami: trzecią a czwartą. Niekiedy świadomie rezygnuje z implantacji uszkodzonego zarodka. To nie znaczy jednak, że tym samym sugeruje, że dorosły człowiek ma obowiązek podej-

czaiła po ślubie. Podobnie czymś głupim jest rozpoczynać bezcelową wojnę, której nie można wygrać, ale czymś jeszcze głępszym jest natychmiast się z niej wycofywać, gdy się to zrozumie. Pamiętajmy, że lekarz, który pomija zarodki z hemofilią, może sam mieć dziecko obciążone tą chorobą, może je kochać i doskonale się nim opiekować. Nie postępuje wtedy niekonsekwentnie i z pewnością swego dziecka nie dyskryminuje.

Do kogo nam bliżej?

Normatywny postulat, by implantować wszystkie zarodki, może mieć dwa uzasadnienia zasługujące na rozważenie. Taka postawa może być wyrazem powszechnego szacunku dla ludzkiego życia lub może wskazywać na pewną normę charakterystyczną dla wielu gatunków.



mować decyzje między uprawnieniami: pierwszym i drugim. Lekarz, który uważa, że nie należy wybierać do implantacji zarodka zagrożonego stwardnieniem rozsianym, nie zobowiązuje się do tego, że będzie namawiać osoby już cierpiące na tę chorobę do popelnienia samobójstwa. Decyzje uwzględniające tylko przyszłe okoliczności – jak w przypadku zarodka – mogą być różne od decyzji uwzględniających przyszłe i przeszłe okoliczności. W praktyce nie mamy z tym kłopotów. Rozumiemy przecież, że czym innym jest odradzanie dziewczynie, by wychodziła za mąż za odrażającego typu, a czym innym jest namawianie jej, by się z nim rozwiódła, gdy już się do niego przyzw-

Oba uzasadnienia bywają przywoływane przez umiarkowanych konserwatystów.

Specjalne znaczenie ma tu nasza skłonność do otoczenia ochroną młodych i nieodpornych członków naszego gatunku. Bez tej postawy gatunek ludzki zginąłby z kretesem (Devine&Devine, s. 200).

Jak już wspominałem, nie jest jednak sprawą oczywistą, że opieka nad zarodkami powinna polegać na wybieraniu w ich imieniu opcji pierwszej zamiast drugiej. Ten argument nie służy dobrze do uzasadnienia pełnej ochrony życia. Nie lepszy jest też argument o rzekomych obowiązkach, obligatoryjnych w licznych gatunkach.

Wszystkie niewinne organizmy mają zasadnicze prawo do życia, które

szanować muszą członkowie tego samego gatunku, jeśli jest on zdolny do moralnych decyzji. I odwrotnie, istoty zdolne do moralnego wyboru mają zasadniczy obowiązek nie zabijać członków własnego gatunku (Devine&Devine, s. 202).

Wbrew opinii cytowanych autorów, nic nie wskazuje na to, by inne gatunki, poza *Homo sapiens*, były zdolne do podejmowania moralnych decyzji,

Stanowisko umiarkowanego konserwatyzmu postuluje zwyczaje charakterystyczne dla ryb raczej niż dla ssaków

czyli do rozwiązywania dylematów moralnych przez odwołanie się do racji, uwzględniających interesy wielu stron, i ważenia siły tych racji. To prawda, że wiele gatunków opiekuje się młodymi i wiele zwierząt stadnych zdolnych jest do solidarności i poświęcenia. Nie działają jednak wtedy pod wpływem konkretnych decyzji i postanowień, tylko reagują instynktownie. Gdybyśmy w sprawie podejścia do *in vitro* mieli wzorować się na jakichś innych gatunkach, to w grę wchodzi przede wszystkim ryby. U wielu gatunków ryb dochodzi do zapłodnienia pozaustrojowego i jest to dla nich naturalny sposób rozmnażania. Nie wydaje się jednak, by ten przykład był przydatny, bo nie łączą nas z nimi jakiejkolwiek podobieństwa instynktowe lub etologiczne.

Sądzę zatem, że stanowisko umiarkowanego konserwatyzmu można uznać za nieprzekonujące. Wiąże się z postulatem leczenia mało skutecznego, gloryfikuje tradycyjne obyczaje w sytuacji, gdy ich działanie jest szkodliwe dla rodziny. Miesza procedury decyzyjne, uwzględniające wyłącznie przyszłe okoliczności, z procedurami uwzględniającymi okoliczności przeszłe i przyszłe. Wreszcie postuluje zwyczaje charakterystyczne dla ryb raczej niż dla ssaków.

Autor jest prof., kierownikiem Zakładu Filozofii Analitycznej UW.

Początek

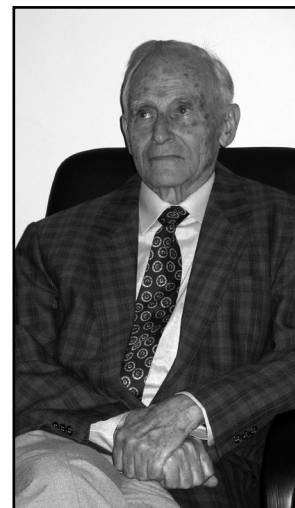
JAN PIETRUSKI

W ubiegłym roku pisałem na ten bardzo poważny temat i celowo do niego wracam, rozwijając pewne istotne wątki (*Med. Biał.* 2010 nr 5, 17). Są dowody, że sytuacja, w jakiej znajduje się nauka polska, nic się nie zmieniła, choć może niezupełnie, bo pojawiają się w mediach rozmaite analizy, jednoznacznie wskazujące na potrzebę wprowadzenia zmian. A to jest już pewnym pozytywnym signum. Poniżej *ab ovo* dalszy ciąg tych rozważań.

Proces nauczania w szkołach podstawowych, średnich i na wyższych uczelniach polega na dostosowywaniu poziomu przekazywanej wiedzy do możliwości najsłabszych uczniów i studentów. Skutkiem tego osoby najzdolniejsze, które w lot pojmują wykładany przedmiot, w oczekiwaniu na dalszy ciąg myślą o niebieskich migdałach. Darujmy sobie przykłady.

Uwaga pedagoga, zgodnie z utrwalonym systemem humanitarno-koleżeńskie pomocy słabszym, kierowana jest ku mniej zdolnym. Zapewne są wśród nich także mniej zainteresowani nauką, którzy nie są w stanie pojąć wykładu albo po prostu nie chcą, bo nie mają zamiłowania do nauki. W ten sposób uruchamia się tzw. równanie w dół. Podawanie ręki słabszym uczniom jest wysoce chwalebne, ale nie może się odbywać kosztem obniżania poziomu nauczania.

Ten powszechnie funkcjonujący w naszym kraju standard kształcenia musi być zmieniony i tylko my, pokolenie sprawujące kierownicze stanowiska na uczelniach, możemy to zmienić. Nikt inny za nas tego nie zrobi. W przeciwnym razie do znaczących osiągnięć nie dojdziemy. Wiadomo bowiem, że postęp we wszystkich dziedzinach jest dziełem umysłów najwybitniejszych. Trzeba te



umysły wylawiać, stwarzać im jak najlepsze warunki do pracy, rozwoju i naprawdę, a nie na niby, zapewnić im godne zarobki. Tu nie ma alternatywy.

Najzdolniejsi na wyższych uczelniach – jak wykazuje doświadczenie – rzadko mogą liczyć na wyróżnienie, promocję, fundusze i odpowiedni warsztat pracy, w którym mogliby rozwijać swoje talenty.

W publikowanych rankingach polskie uczelnie znajdują się na szarym końcu. Na liście szanghajskiej z ubiegłego roku znalazły się tylko dwie polskie uczelnie, lecz dopiero w czwartej setce. Jak to możliwe? – pomyślałem sobie, studiując tę listę. Mamy przecież kilkaset wyższych uczelni, a wśród nich są te od lat cieszące się renomą! Na owej liście w pierwszej dziesiątce znajduje się osiem uczelni amerykańskich i dwie brytyjskie. Do rozmaitych rankingów, takich jak prestiżowe listy: szanghajska i filadelfijska czy inne, podchodzę z rezerwą, ale nie można nie zauważyć niskich notowań polskich uczelni. Są po prostu tak zatrważające, że pytanie: dlaczego jest tak źle? nasuwa się nieodparcie.

Dane przedstawione przez grupę gdańskich naukowców, opublikowane